

**Łukasz Czeszumski**

**KREW WOJOWNIKÓW**

**TOM II**

**KSIĄŻĘ**

*Fortuna jest ślepa i ślepymi czyni swoich wybranych*

– Cynceron

## ***Rok 1519. Florencja***

Rozdźwięczały się gongi, ognie buchnęły, rozbrzmiała muzyka i głosy zachwytu. Hucznie i żywiołowo rozpoczął się tegoroczny karnawał we Florencji.

Ulicami miasta sunęły wozy ozdobione kolorowymi lampionami. Odziani w szkarłatne szaty paziowie wznosili radosne okrzyki. Dalej jechały rydwany, a na każdym barwne postacie – grajkowie, śpiewacy, przebierańcy. Nawet muły ciągnące pojazdy pomalowano na jaskrawe kolory i obwieszono girlandami. Tłumy widzów wiwatowały. Wszyscy rozkrzyczani, poprzebierani za bohaterów mitów i legend, ukrywający twarze za maskami. Co chwilę wybuchały ładunki prochu, wyrzucając w powietrze kolorowe konfetti, którego płatki wirowały wśród ludzi i wozów.

Na czas karnawałowych nocy zawieszano surowe prawa moralne. Zamykały się wierzaje kościołów, a ulice pachniały perfumami, winem i pożądaniem. Jak głosiła popularna zasada – w karnawale był odpust na wszystkie grzechy.

Rydwany jeden za drugim przejeżdżały obok zamkniętych na głucho drzwi pałacu. Rezydencja najbogatszej florenckiej rodziny miała skromną, surową fasadę, a zaproszeni na bal goście wpuszczani byli dyskretnie wejściem od ogrodów. Na ulicach pospółstwo cieszyło się wyzwoleniem, mogąc się tylko domyślać, co dzieje się w te dni w pałacowych wnętrzach. Podsycane zazdrością plotki

powtarzano w całej Italii, a im dalej wędrowały, tym większej nabierały przesady. Szeptano o najwykwintniejszych potrawach, o znanych i potężnych gościach oddających się wyrafinowanej i niehamowanej niczym rozpuście, o grach hazardowych, w których przegrywano całe królestwa, a nawet o tajemnych mordach i otwartym kulcie szatana. Przewracając oczami, powtarzano sumy, jakie pochłaniała organizacja pałacowego balu, sięgające podobno setek tysięcy dukatów.

W salach pałacu i w jego ogrodach setki służących obsługiwały około stu przedstawicieli znamienitych szlacheckich rodzin. Bawiono się jednak wstrzemięźliwie. Przez całą noc na sali nie pojawił się gospodarz. Księżę Lorenzo II Medyceusz, przedstawiciel najbogatszej rodziny Italii, leżał teraz bezwładnie w jednej z górnych komnat. Odegnął medyków, ściany kazał udrapować czarną materią. Przed komnatą czuwał ksiądz, który na pierwsze wezwanie miał mu udzielić ostatniego namaszczenia. Księżę umierał na syfilis.

Gdy odzyskiwał świadomość, widział wkoło siebie czarną draperię i dochodziły go odgłosy muzyki i śmiechów z głównej sali. Nie żałował, że go tam nie ma. Modlił się tylko o to, aby przed śmiercią móc zobaczyć swoje pierworodne dziecko, które jego żona miała powić już za kilkanaście tygodni.

„Być może ten atak choroby nie będzie ostatni. Boże, daj mi siłę. Spraw, aby ten atak minął, tak jak poprzednie, które przeżyłem przez te lata. Może nawet odzyskam na tyle energii, aby pokazać się gościom na balu. I tak jeszcze

miesiąc, może dwa... Tyle mi wystarczy. Jeśli narodzi się chłopiec, umrę spokojny o przyszłość. Otrzyma imię Lorenzo III, na cześć mojego dziadka, któremu nigdy nie dorównałem. Zasluguje na to imię. Pamiętam swoje prorocze sny i pamiętam słowa rzymskiego wróżbity, który przepowiedział, że moje dziecko osiągnie wielką pozycję.

Mój dziadek był wielkim władcą, silnym, mądrym i otaczanym szacunkiem. Władcą, który uczynił Florencję piękną, bogatą i sławną. Mój ojciec zmarnował dzieło dziadka. Okazał się chwiejnym durniem, którego własny naród wygnał z Florencji na poniewierkę i aby znowu rządzić, musiał on sprzymierzyć się z cesarskimi najemnikami. Odzyskał władzę, lecz ceną było wplątanie się w intrygi, z których już chyba nigdy się nie wyzwolimy.

My, Medyceusze, potrzebujemy syna, który wyrośnie na władcę godnego Florencji. Który weźmie wszystko w garść. Który dokona tego, czego ja nie mogłem dokonać z powodu choroby. A przecież miałem zadatki. Gdy tylko się urodziłem, nadano mi przydomek «Wspaniały», po wielkim dziadku. To mnie ten nieszczęsny sekretarz dworu Niccolò zadedykował swój traktat o sprawowaniu władzy. Traktat, w którym opisał rzeczy oczywiste i każdemu wiadome, których napatrzył się u różnych władców. Dar przyjąłem i przeczytałem, a potem wyśmiałem jego autora. Na cóż komu takie dzieło? Przecież on sam swoich nauk nie potrafił przedzierzgnąć w czyn. Łatwo jest pisać dzieła o tym, co się poznało, ale niełatwo sprawiać, by świat poddał się naszym działaniom. Pamiętam, Niccolò, twoje baczne spojrzenie, gdy dałeś mi rękopis traktatu i oczekiwałeś w zamian

wybaczenia tego, że jako urzędnik signorii<sup>1</sup> zwalczałeś naszą rodzinę. Dwulicowy łotrzyku. Popieranie naszych wrogów nazwałeś młodzieńczą naiwnością, akurat! Po prostu my okazaliśmy się silniejsi od signorii, a ty postanowiłeś do silniejszego dołączyć. Oczekiwałeś pochwał i zaszczytów w zamian za swoją marną książkę. Oczywiście niczego nie dostałeś. Dyplomatycznymi słowami oddalono twoje roszczenia i jak niepyszny musiałeś wrócić do swojej chaty w wiosce i żyć tam w biedzie, z dala od dworskich przyjemności i bez możliwości dalszego obcowania z ludźmi władzy. Czyż nie wiesz, że złoto i łaska panów nie służą do tego, aby je trwonić na myślicieli? Okazałeś się zwykłym nieudacznikiem.

Smutne, że takim samym nieudacznikiem okazałem się ja. Ot, książę bez tytułu księcia, bogacz nieumiejący pomnażać bogactwa. Niby władca, a w istocie marionetka, popychadło Viscorolego. Dziecko wielkich Medyceuszy niepotrafiące sprostać wyzwaniom. Niby młody i silny mężczyzna, bo przecież mam ledwie dwadzieścia sześć lat, ale już wyniszczyła mnie straszliwa choroba i jestem na skraju śmierci. Ja, w którego tak wierzą. Któremu doradzano, jak ma zjednoczyć całą Italię, który miał prowadzić zwycięskie bitwy i zadziwiać świat – a który zdycha teraz jak pies, bo kiedyś pokusił się na jakąś metrese, uprzednio zapewne zgwałconą przez przeklętych francuskich żołnierzy<sup>2</sup>. Przeżyjesz mnie, Niccolò, i przeżyjesz jeszcze

---

<sup>1</sup> Signoria – rząd Florencji w czasie średniowiecza i renesansu, składający się z przedstawicieli gildii.

<sup>2</sup> Kiła została przywleczona do Europy przez załogi okrętów Krzysztofa Kolumba i szybko się rozprzestrzeniła po całym kontynencie. Choroba ta była ówczesnie nieuleczalna i śmiertelna. Przyjęło się nazywać ją „chorobą francuską”, później zaś syfilisem.

wielu władców, którzy wpadli w szpony szalonego hazardu, w którym wygraną są wpływy, a przegraną pogarda historii. Ty w tej swojej wiejskiej posiadłości dożyjesz w pokoju sędziwego wieku, bezpiecznie i nie szarpiąc nerwów. Tak, wiem, że nigdy się z tym nie pogodzisz. Wszak człowiek, który poczuł smak władzy, nie potrafi już bez niego żyć.

Słyszę muzykę, słyszę głosy. Wy, tam na balu, bawcie się, pijcie wino i obmawiajcie mnie. Wyśmiewajcie moją chorobę. Obwiniajcie mnie o grzechy, które popełniłem, i o te, których nie popełniłem. Popuszczajcie pasa, oddawajcie się plugawym przyjemnościom. Knujcie intrygi i liczcie złoto. Bawcie się, korzystajcie z życia, póki możecie, bo nie wiecie, ile wam jeszcze czasu pozostało. Na pewno będzie go za mało...

Ciekawe, gdzie teraz jesteś i co robisz, ohydny Viscorole. Manipulancie, podły uzurpatorze. Wiem, że nie ma cię na balu. Za to twoi ludzie są w moich komnatach i na pochłoniętych karnawalem ulicach. Obserwują, obmawiają, słuchają plotek, które ci potem przekażą i dzięki którym mocniej zaciśniesz swoje chciwe palce na Florencji, na Rzymie, na całej Italii.

Viscorole, człowiek pod herbem węża. Jak bardzo go nienawidzę i jak bardzo się go boję. Wiem, że gdyby mógł poznać, co naprawdę o nim myślę, bez trudu uczyniłby moje ostatnie chwile piekielnymi. Ach, gdyby żył mój wielki dziadek. Poradziłby sobie z Viscorolem tak, jak signoria poradziła sobie z tym szalonym mnichem Savonarolą. Prymitywnie, lecz skutecznie. Ale i ty, Viscorole, wiecznie żył nie będziesz. Nie uratuje cię twoja fałszywa moralność,

nie uratuje to, że trzy razy dziennie chodzisz na modły do katedry, nie uratują zastępy strażników, którymi się otaczasz. Nie umrzesz na chorobę ani nie umrzesz ze starości. Czyjaś ręka pewnego dnia wrazi sztylet w twoje serce i uwolni świat od jeszcze jednej kreatury.

Czuję się teraz nieco lepiej, tak jakby nienawiść dodała mi sił. Głowa wciąż mnie boli, brzuch rozdyma. Obrzydliwe białe krosty pokrywają skórę. Jeśli założę maskę i rękawiczki, nie przestraszę gości na balu. Ale nie mam sił, aby tam zejść. Nie ma tematów, na które chciałbym z nimi rozmawiać. Unika mnie moja żona Magdalena. Wiem, że budzę w niej tylko odrazę. Mój kuzyn Giulio nigdy nie przyjeżdża na bale w pałacu. Wymawia się obowiązkami arcybiskupa, ale wiem przecież, że woli spędzać czas w pałacu Pittich przy Viscorolem, którego nawet on sam uważa za prawdziwego władcę Florencji. Jeżeli Magdalena urodzi mi syna, będzie to jedyna nadzieja dla naszej rodziny i dla miasta. Nie będę schodził na bal. Nie ma po co. Jutro, gdy odzyskam siły, pojedę do pałacyku w Careggi. Świeże powietrze i spokój, z dala od nienawistnych ludzi. Tam moje zdrowie się poprawi. A teraz pomodłę się o pomyślną przyszłość, o przyszłość dla mojego syna, bo on będzie jedynym, który po mnie pozostanie...”

Lorenzo nie mógł znać przyszłości. Gdyby ją poznał, dowiedziałby się, że nie jego syn (bowiem Magdalena miała urodzić córeczkę), a zupełnie inny człowiek miał zmienić przyszłość Italii. I co ciekawe, tej właśnie nocy był on jednym z gości na balu.



Siedział na głównej sali, w małej loży w kącie. Samotny mężczyzna odziany w czerń popijał wino z kielicha. Na jego twarzy malowało się zamyślenie.

Księżę Damiano Dimarco, dziedzic Reggio i zarządca posiadłości Mondragone, gościł na balu w pałacu Medyceuszy już po raz trzeci. Przybył w zastępstwie swojego ojca i tylko dlatego, aby swoją nieobecnością nie spowodować ujmy w protokole. Nie był miłośnikiem rozpustnych zabaw, w których lubowały się bogate rody Italii. Pochodził z Kalabrii, surowej krainy rodzącej mocnych i gwałtownych ludzi, gardzących dworskimi swawolami. Wychował się wśród hiszpańskich wojsk i rycerzy, gdzie przywykł do bezwzględnego porządku, nabrał dyscypliny i samozaparcia, a potem zdobył wiele doświadczeń, które słabszego psychicznie człowieka by zabiły, natomiast jego uczyniły tylko silniejszym.

Księżę Damiano był jednym z niewielu gości na balu, którzy nie mieli twarzy skrytej za maską. Obserwował obojętnie i ze znudzeniem wystrojone pary tańczące na środku sali, patrzył na grajków, na stoły, na których piętrzyły się góry wymyślnych potraw.

Nieco przed północą do księcia podszedł posłaniec i wyszeptał mu do ucha kilka słów. Księżę wstał i ruszył przez salę, idąc spokojnie i godnie, a za nim, w pewnym oddaleniu, postępował Gallardo, jego najbardziej zaufany strażnik.

Większość gości nie znała księcia Dimarco. Nie był człowiekiem sławnym, przynajmniej nie wśród szerokich mas. Jednak choć na balu był tylko jednym z wielu, to zwracał na siebie uwagę. Jego niewysoka, odziana na czarno

postać roztaczała wokół siebie niewidzialną aurę. Szedł przez salę, a tłum rozstępował się przed nim. Jego ruchy i spojrzenia znamionowały pewność siebie. Mówiły: oto mężczyzna, który nie zna ani strachu, ani wahania i który zawsze osiąga to, czego pragnie. Wystarczy, że popatrzy, wystarczy jeden gest. Nieprzenikniona była jego twarz, nie wyrażała żadnej emocji. Dworskie damy i udające, że też nimi są, specjalnie sprowadzone na bal weneckie kurtyzany obserwowały go dyskretnie i z ciekawością. Żony wielmożów, którzy jedli lub bawili się w innych salach, rozochoczone winem i pewne siebie dzięki maskom obiecującym dochowanie tajemnicy, szeptały między sobą: „Któż to jest?” i kusiły zza masek zalotnymi spojrzeniami wielkich ciemnych oczu.

Przeszedł przez salę balową i przez część jadalną, nikogo nie zagadując, nie zatrzymując wzroku na żadnej z pięknych dam na tyle długo, aby mogło to zostać odczytane jako zachęta. Wyszedł z sali, która na powrót zaczęła żyć balem. Dworskie fircyki zalecały się do dam i do siebie nawzajem. Wielcy panowie, przedstawiciele potężnych włoskich, hiszpańskich i francuskich rodzin, omawiali sprawy polityczne i finansowe, obserwując swoich rywali z konkurencyjnych rodzin. Kupcy przechwalali się bogactwem, a posłowie z najdalszych królestw – wspaniałością swoich władców i przepychem ich pałaców. Artyści obiecywali swym mecenasom stworzenie dzieł, które zadziwią świat. Skrybowie omawiali z sekretarzami, które wieści należy zapisać w kronikach, aby stały się częścią historii, a które przeinaczyć lub skazać na zapomnienie.

Kanonicy z kolei nie rozprawiali o sprawach Biblii, lecz o korzyściach płynących z kardynalskich i biskupich pozycji, o przetasowaniach w otoczeniu papieża czy też o nowych wyskokach jednego z kardynałów.

Tymczasem ksiązę Dimarco, a za nim jego milczący strażnik, przeszedł na tył rezydencji.

W ogrodzie, w labiryntach żywopłotów i sadów, odbywały się rzeczy najciekawsze, bo skryte, przynajmniej pozornie, przed wścibskimi oczami niewtajemniczonych. Wśród licznych bawiących się tu gości zgromadzonych przy stołach z jadłem i napitkiem, dla których przygrywali pojedynczy muzycy, na uboczu, wśród różanych krzewów i przystrojonych w kokardy drzewek, zbierały się pary i małe grupki, w których zawiązywano spiski i sprzysiężenia tudzież nabierały żarliwości potajemne romanse. Książę szedł alejką, a do jego uszu docierały strzępki rozmów, chichoty, westchnięcia i szepty.

„Oto elita władzy i posiadania w całej okazałości – pomyślał. – Oto zaplecze każdego władcy. Staw pełen ryb; można tu dzielić i rządzić, a raczej dzielić, aby rządzić, można tkać z nich niczym wielki pająk sieci powiązań i stopniować podległość, nagradzać za wierność i karać za niezdecydowanie. Staw pełen ryb, a wiele z tych ryb to rekiny. Poselstwa z dalekich krain, dowódcy wojsk o kwadratowych twarzach, szpiedzy o gładkiej mowie i czujnym uchu, zdrajcy czekający na okazję do zarobku, sługusi czekający na okazję do działania, chytry manipulanci o rozbieganych oczkach, zepsuci niemoralnością synowie wielkich rodzin... I

najprzebieglejsze z nich wszystkich: inteligentne damy, które nauczyły się wpływać na wydarzenia w świecie rządzonym przez mężczyzn”.

Książę nie wierzył w przydatność dworu. Nienawidził tej zbieraniny kreatur, która miała jedynie stwarzać pozory, że władza nie należy do jednego człowieka. Książę wierzył tylko w pojedynczych ludzi, którym można było zaufać w pełni. W takich jak jego strażnik Gallardo, któremu książę kiedyś uratował życie i który spłacał ten dług swoją służbą. Książę znał się na ludziach. Potrafił jednym spojrzeniem przeniknąć człowieka, bezbłędnie rozpoznać jego motywacje i cele. To, jakie ma słabości i jakie ma zalety. Nie dawał się nabrać na żadne kłamstwo, był głuchy na pochlebstwa, a tym bardziej na groźby. Książę wiedział, że ludzie są z natury tchórzliwi, chciwi, słabi i leniwi. Cenił tych, którzy mieli tych wad po prostu mniej niż reszta.

Ucichły dźwięki muzyki i głosy ludzkie. Książę wraz z Gallardem znaleźli się na skraju ogrodów. Gallardo niósł zdjętą ze ściany pochodnię. Przeszli przez bramę, strażnik przepuścił ich bez słowa.

**KONIEC FRAGMENTU**

**Wersję drukowaną książki można zamówić na stronie**

**<http://www.czeszumski.com>**